

Piosenka poetycka, czyli kontrkultura

Magdalena Sasin: Co pan czuje, słuchając bardzo młodych ludzi, którzy interpretują teksty napisane przez pana ojca kilkadziesiąt lat temu?

Piotr Kofta: Cieszę, że one wciąż są żywe, zrozumiałe. To znaczy, że już kiedy Jonasz je pisał, były na tyle przemyślane, że zapewniło im to długie życie i pewną uniwersalność. Myślę sobie też, że w dzisiejszych czasach śpiewanie Kofty, Młynarskiego, Przybory czy Osieckiej jest w pewnym sensie rodzajem kontrkultury. Świat się zglobalizował, język polski jest w defensywie, obserwujemy potworny zalew angielszczyzny i rozmaitej kulturowej tandety. Śpiewając wartościowe piosenki, można się przed tym bronić, pokazywać, że nie jesteśmy zapyziałym zakątkiem świata, gdzie mówi się jakimś dziwnym, szeleszczącym narzeczem, ale społeczeństwem z wielką, wspaniałą kulturą słowa.

Jakie znaczenie w pana życiu miała twórczość ojca?

Trudno mi to obiektywnie ocenić. Ona jest częścią mojego krwiobiegu. Znam ją bardzo dobrze, niejednokrotnie myślę z jej pomocą i nie umiem jej w ogóle oddzielić od siebie. W jakiejś części te teksty powstawały za mojego życia. Bywałem świadkiem ich tworzenia i jednym z pierwszych słuchaczy. To jest sprawa bardzo osobista.

Jak bardzo angażuje się pan w promocję twórczości Jonasza Kofty?

Na tyle, na ile pozwala mi moje życie zawodowe, bo nie jest to moja główna aktywność. Podobnie jak ojciec robię w słowie, chociaż – na szczęście – nie piszę piosenek, a nie piszę, bo nie umiem. Ale gdy tylko pojawiają się takie okazje jak festiwal i konkurs w Teatrze Muzycznym w Łodzi, wtedy oczywiście rzucam wszystko i jadę. Nie jestem całym moim życiem na tej łódce, ale chętnie na nią wsiadam.

Całą rozmowę Magdaleny SASIN można przeczytać w majowym numerze „Kalejdoskopu” 5/2025.